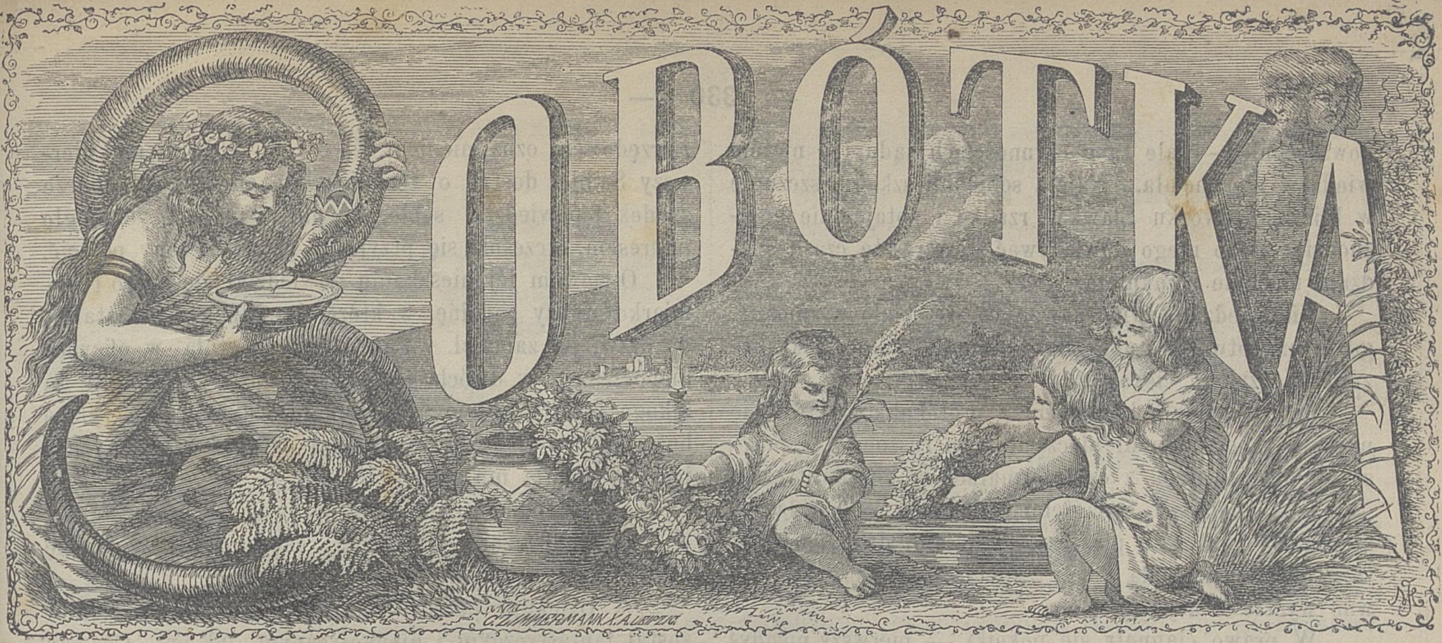


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 41, Poznań, dnia 9 Października 1869. Rok I.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— Dozoru nie ma! należnéj surowości brak! odrzekł — wiesz pani, co to za następstwa ciągnie?

— A! wiem! ze łzami odparła panna Starsza, to jest najstraszniejsza próba, jaką Pan Bóg na dom nasz niewinny mógł dopuścić — ale cóżem ja zawiniła?

— A czyjaż wina! wołał Sopoćko, czyja wina! niczyja tylko zbytniéj pobłażliwości, a raczéj niedołęztwa, tak, niedołęztwa.

Przełożona płakała, Sopoćko się burzył, ale nagle zabełkotał coś niezrozumiale, chwycił się za poręcz od krzesła i padł na nie zbladły z oczyma wysadzonemi... wołając głosem już niezrozumiałym... wody!

Panna Starsza pobiegła, przyniesiono nietylko wodek, esencyi bobkowéj, laurowych kropel, pomarańczowego ekstraktu... herbaty, mięty i rumianku... ale to wszystko się na nic nie zdało. Panna Infirmerka utrzymywała, że został ruszony paraliżem, mowę bowiem utracił i stan był przeraża ący. W skok posłano po doktora, a gdy ten się zjawił i rozmyślał, czy krew puścić, Sopoćko już był zmysły całkiem postradał Uderzenie apoplektyczne było silne... i niestety ratunek zapóźny... Wszystkie pobożne zakonnice i pensionarki poszły do kaplicy odmawiać litanią na intencyą chorego Sopoćki, tymczasem musiano wynieść go z klasztoru, gdzie pozostać nie mógł... i na materacu wyruszono z nim do jego mieszkania. Przełożona posłała do hrabinéj Dreissowéj z zawiadomieniem... Ponieważ do mieszkania Sopoćki było daleko i trzeba go było nieść na wschody, doradzili przyjaciele, ażeby w pobliskim szpitalu św. Ducha w osobnym pokoiku go złożyć. Tu puszczono mu krew raz i drugi i trzeci, ale zgęsła iść już nie chciała a w nocy nie odzyskawszy przytomności nawet, ale przy modlitwach Kanonika i kilku duchownych, których wezwano, biedny baron, wczoraj jeszcze zdrów jak ryba... życia doczesnego dokończył.

Wiadomość o tym zgonie tak nagłym, przeraziła wszystkich, Drabicki wierzyć jéj nie chciał... w ogóle ubolewano nad stratą pobożnego i czynnego członka tylu zgromadzeń, bractw i stowarzyszeń... Z Kanonikiem przybyła do umierającego, sama czując się do tego obowiązaną, Helena i pozostała u łoża wuja, który wszakże ani jéj widzieć, ani słyszeć nie mógł. — Tragiczny ten zgon na chwilę przynajmniéj odwrócił uwagę od Sławka i tyczących się go okoliczności, było to szczęśliwą dla hrabinéj i Jadzi dywersyą.

Trzeciego dnia, staraniem szczeréj w istocie przyjaciółki Sopoćki, hrabinéj Dreissowéj, która w nim traciła starego pomocnika do dzieł miłosiernych, domownika, sługę niemal, odbył się pogrzeb Sopoćki skromny, ale odznaczający się liczbą duchowieństwa, żebractwa, które w nim uczestniczyły... Kilku kapłanów miało mowy bardzo piękne, a ze świeckich nastręczył się Drabicki, aby w imieniu obywatelstwa miasta i ojczyzny pożegnać zmarłego. Wiedział bardzo dobrze, iż to mu wcale nie zaszkodzi, szczególniéj w téj chwili.

Od pierwszego dnia policya i sąd, który miał na oku owe tak śmiesznie i pilno zaryglowane mieszkanie Sopoćki, położył na niém pieczęcie.

Testamentu nie było żadnego, z familii jedna tylko siostrzenica... którą on uznał i przyjął, jak to już wiedziano

powszechnie, — ale ta o czynnościach sądu i o niczém wiedzieć nie chciała. Najęła sobie mieszkanie szczupłe w bliskości dworku Slawka, rzadko i potajemnie przychodziła się o niego dowiadywać... a resztę czasu spędzała u siebie zamknięta.

Nie wiedziała więc nawet, co się działo w mieście, gdzie na otwarcie obsygillowane mieszkanie tak niezmierna czyhała ciekawość.

Sąd w pełnym komplecie z protokulistą zjawił się u drzwi rano, obejrzał pieczęcie nienaruszone.. i przystąpił do otwarcia z całą formalnością biurokratyczną.

Izba pierwsza z nagiemi ścianami, zawierała na szaragach dwa stare płaszcze, pod niemi dwie pary butów, dzbanek z wodą i trzy zapylone stare czapki, dawno wyszłe z używania.

W prawo ciągnęły się pokoiki — pierwszy niegdyś zapewne od gości... okryty grubą warstwą pyłu, zawierał komodę zamczystą, kanapę z nogą złamaną, stół bibułą zasłany i kilka krzesełek... Daléj następowała izdebka z szafami zamkniętemi, a za nią pokój sypialny. Łóżeczko nader skromne, brudne, wyleżane, wązkie... stoliczek pod oknem, a między niemi ogromny żelazny o czterech zamkach stał kufer! — Najniewprawniejsze oko widziało w tém ślady niepojętego prawie skąpstwa... Człowiek te nie żył tu, nie jadł, spał nie wygodnie, całe jego życie było w kufrze... Ale nim przyszło do otwarcia go urzędowego, opatrzono szafy i komody, w których znalazły się rozliczne fanty ponumerowane, kosztowności i materye, srebro... widocznie wzięte w zastaw...

Pobożny baron był, jak się okazało, zatwardziałym lichwiarzem, ale prowadził swe interesa tak ostrożnie, tak cicho, że nikt się tego nie domyślał. Udawał, że służy za pośrednika tylko...

Kufer więc nabierał wagi i obiecywał być wielce interesującym...

Urzędnicy przystępujący do egzaminu jego, wzdychali, myśląc nad tém, czemu z nich żaden do spadku należeć nie może.

Nareszcie klucz w zamku misternym zakręcony brzęknął, otwarły się wrzeciądze... i widok przyjemny oczom ciekawych się przedstawił. Wszystko to było w rozczulającym porządku... złoto z jednéj strony, papiery poklasyfikowane i pozortowane z drugiéj, skrypta pozwięzywane czerwonemi sznureczkami od świec... rejestra, kwitki... srebro w starych szkarpetkach i miedź nawet w gałgankach... Inwentarz tego kufra zajął niezmiernie wiele czasu... trzeba go było porządnie bardzo wylegitymować, zregestrować, obliczyć i stan fortuny w interesie fiskusu oznaczyć ściśle... Na pierwszy rzut oka w mieszkanie Sopócki żyd by był nie dał za jego mienie i tysiąca złotych, popatrzywszy zdala na kufer znowu, osoby żywéj imaginacyi mogły by się były spodziewać milionów... a wszystkiego wszystkiém w pocie czoła zarobionego grosza było trzykroć sto tysięcy guldenów pewnych i ze sto wątpliwych... nie licząc fantów i t. p.

Wiedziano już, iż spadek weźmie siostrzenica, a że ta się nie pilnowała, bo wcale o tém wyobrażenia nie miała i nie myślała nawet, obcięto ją na korzyść fiskusa i urzędu, o ile się tylko dało... ociągano się nawet z urzędowém oznajmieniem jéj o tém. Gdy niemal pierwszy Samiel dostał o tém języka, obrachował dobrze spadek i powiedział sobie, że nie złym by być mogło interesem, wcześnie się przyjaźni panny Heleny polecić.

O nowém jéj mieszkaniu dowiedział się łatwo i wymiarkowawszy godzinę, w któréj ją najpewniéj zastanie, do drzwi jéj zapukał. Panna Helena stała w oficynce niepoczesnéj w dwóch izdebkach, nie przyjmowała tu nikogo i zdziwiła się nie pomału, słysząc skrzypiące buty na progu. Ale Samiel był dobrym dawnym znajomym, podała mu rękę grzecznie.

— Cóż pana tu do mnie sprowadza? spytała.

— Obowiązki przyjaźni... chęć dowiedzenia się o zdrowie... o humor...

— Dziękuję panu... zdrowie straciłam a humor został fantastycznym i nieukołysanym, jak był. Cóż pan chcesz, jestem stara...

— Cóż pani myślisz? co zamierzasz?

— Nic!! odpowiedziała krótko — na ten raz przykuta jestem do łóżka mojego brata chorego... gdy on da Bóg, wyzdrowieje... pomyślę o sobie Może też teraz dyrektor łaskawszy będzie i przyjmie mnie do teatru...

— A! rzekł Samiel, jeźli sobie tego życzysz, jestem z nim dobrze — pójdę do niego i pomówię.

Postanowił nie wydawać się z tém, że wiedział o spadku.

— Byłbyś pan tak grzecznym? spytała Helena.

— O! najchętniéj! ale na cóż pani teatr...

— Na co? czuję się powołaną do teatru a nic innego, lepszego na świecie do czynienia nie mam... Memu bratu dziś mogę być potrzebną sługą, jutro stanę się ciężarem, a nikomu nim być nie chcę...

— Więc upoważniasz mnie pani? spytał Samiel. Wierz mi, masz we mnie szczerego, dobrego przyjaciela...

— Wierzę i jestem wdzięczna — prosto odpowiedziała Lena.

— Dodam, rzekł Samiel, że jakkolwiek postanowienie jéj może mi osobiście do smaku nie przypada... ale dobrze pani czynisz, chcąc zostać niezależną... bo...

Tu urwał tajemniczo.

— Bo co? spytała Lena — co?

— Bo... to ciężko powiedzieć, odezwał się Samiel, niby wzdychając...: Sławek jest poczciwy chłopak... ale.

— O! nic na Sławka! nic mi pan nie mów przeciw niemu.

— Nie miałem na myśli przeciw niemu mówić, ale o nim, powoli dokończył Samiel. Sławek poczciwy, dobry, serdeczny... ale... czy się pani nie łudzisz?

— Czém? spytała Lena.

— Czy pani nie nadto rachujesz na serce, które... które... może już dawno należeć do innéj??

— Ja się nie łudzę niczém, nie spodziewam nic, kocham go jak brata... a nie wyglądam za to ani wzajemności, ani na tém buduję projektów.

— Jak brata? podchwycił Samiel, więc serce pani może jeszcze uderzyć dla... przyszłości?

— Lena się zarumieniła.

— O! nie! nie, rzekła... ja nie żądam od przyszłości prócz, żeby mi wiary w mój ideał nie odebrała.

— A jeśli ideał... ożeni się? spytał uśmiechając się Samiel.

— Będę go kochać razem z jego żoną — odpowiedziała Lena.

— I możesz też pani kiedyś.

— Ale dajże mi pan pokój? Czy widziałeś kiedy stare, z wypłakanemi oczyma artystki, którym bielidło zjadło płeć, ruż wydarł rumieniec, łzy zgasiły wejrzenie... wychodzące za mąż inaczéj, jak w trzecim akcie komedyi?

— No... ale, wszystko się trafia.

— Trafia się tym, które się lękają pozostać same na świecie, które przerażała samotność... którym się chce niewoli dla odmiany... Ja... chcę zostać swobodną.

— A jeśli serce przemówi?

— Ja z sercem mojém znam się dobrze, — nie jest ono sroczką i paplać nie ma ochoty...

— Ale za przyszłość ręczyć nie można.

— Czasami! Samiel wstał i rzekł. — Idę więc do Dyrektora teatru...

Nie chciał dłużéj przeciągać rozmowy i odegrawszy w porę, jak mu się zdawało, preludyum, wysunął się z oficynki.

Tegoż dnia pod wieczorem nastąpiło przewidziane oznajmienie urzędowe pannie Helenie Prater o spadku po wuju... Biedne dziewczę zrazu nie zrozumiało, potém uszom wierzyć nie chciało, naostatek.. wyprosiło u urzędnika uśmiechniętego o chwilę czasu dla uspokojenia się, namysłu... podziękowania Bogu. — Helenie zdawało się, że była w teatrze, tak teatralnie los jéj pod nogi rzucał fortunę pańską, niezależność, bogactwo...

Pobiegła naprzód do Sławka... przyklękła przy łóżku i zamyślona, obłąkana, nic mówić nie mogła. Powoli, po cichu, potém ostrożnie oznajmiła mu o zmianie swego losu, ale Młyński który był nieco zdrowszy, choć się dla niéj ucieszył tém, nie okazał zbytku radości, prosił tylko w obawie, aby jéj nie oszukano, żeby mecenasowi, którego jéj wskazał, zaraz nazajutrz dała pełnomocnictwo. Kanonika, który chodził na straży z brewiarzem, przywołano. Staruszek podniósł ręce do góry i rozpłakał się.

Ale ludziom serca choć przybytek grosza zrzuca z niego ciężar troski nieustannéj o jutro... wcale ich przecie nie uszczęśliwia. Wszyscy po chwili uczuli, że się w ich położeniu wcale nic nie zmieniło, Helena radowała się tylko, że Sławkowi może w czém użyteczną być potrafi...

Wcale inne wrażenie wieść o spadku po Sopoćce zrobiła w mieście. Hrabina Dreissowa, która podobno przeczuwała, iż zmarły zostawi coś więcéj nad stare płaszcze, buty, pewną była, że znajdzie się testament, którym on rozporządzi pozostałością na rzecz bractw i klasztorów. Spodziewano się, iż zapisze kapitał na założenie klasztoru Ignacyanek, którego potrzeba czuć się nadzwyczajnie dawała dla starych panien... Tymczasem testamentu nie było, siostrzenica się znalazła i cała ta fortuna przechodziła na... osobę nieznajomą...

Osoba ta jednym zupełnie nieznana, drugim dawniéj nie miła, teraz w blasku téj sumy... którą odziedziczyła, zaczynała się jakoś całkiem inaczéj wydawać. Wszyscy, a szczególniéj młodzież, znajdowała, że panna Lena... była wprawdzie ekscentryczną, ale broniono jéj sławy, wynajdywano w niéj przymioty, odkrywano zalety, jakich nigdy nikt wprzódy jéj nie przyznawał.

Dyrektor teatru bił się po głowie z rozpaczy, że ją tak niegrzecznie ze sceny spędził.

— Tak! tak! mówił — o! tak! tak! zrobiło się głupstwo! któż wie? Jestem nie żonaty... ona lubi pasyami teatr... ale... teraz! przepadło wszystko!

Z młodzieży niemal każdy utrzymywał, że on jeden tylko zawsze bronił téj nieszczęśliwéj Leny, że on jeden się poznał na niéj.

Hrabina Dreissowa nie rozpaczała o nawróceniu, hrabina Wartska milczała, Jadzia się cieszyła szczerze, ale jéj uśmiech zrezygnowany był i pełen boleści, po cichu szeptała — przeznaczenie!!

Drabicki żałował, ze był żonaty, a syna miał znowu za młodego, bo niezawodnie starałby się go zaswatać. — Obrachował także, iż gotowa co dać na ten nieszczęsny dziennik Sławkowi i agonią jego przeciągnąć. — Było mu to wcale nie na rękę... ale potrzebował się namyśleć, bo kontr-miny zawsze jakieś znalazł przeciw wszelkiemu niebezpieczeństwu...

Śmierć Sopoćki, jego mienie, los Leny, na tydzień przynajmniéj dostarczyły paszy plotkarzom... Wszyscy byli ciekawi zobaczyć bogatą eksaktorkę, ale ona się nigdzie nie pokazywała. Nie zmieniła nawet pomieszkania, nie przebrała się z ciemnéj sukni staréj, posłała kilka tysięcy dla ubogich przez Kanonika, ofiarę znaczną dla klasztoru, zamówiła grobowiec dla wuja, dla matki... i śmiała się smutnie, mówiąc Sławkowi, że teraz już nie wie, co z pieniędzmi robić będzie. Pierwszym darem który uczyniła sobie saméj, był przepyszny Shakespeare i Goethe... Podarte tomy dawne schowała na pamiątkę!

O, mój Boże, kiedy człowiek zestarzawszy z tych lat ubóstwa, nadziei, pracy, znajdzie na dnie kufra podartą książczynę, nad którą płakał i wzdychał do świata, tylu od niego pięknych spodziewając się rzeczy — jak mu naówczas... miło ucałować te karty, na których ślady łez pozostały! Milsze i droższe są stokroć te łzy, niż jesienny uśmiech zwątpienia — nad grobem...

Lena z uczuciem schowała te poszarpane tomy: Wilhelma Meister... Egmont'a... i Schillerowskiego Wilhelma Tella.. które tyle razy czytała, marząc...

Skutkiem zmiany opinii o niéj — o cudo! mniéj za złe jéj miano, że... chodziła do Sławka... Hrabina Wartska prawie się nie lękała jéj tam spotkać, osobliwie, gdy się dowiedziała, że ładnie mówi po francuzku... Słowem — o dziwna potęgo grosza, o uroku mienia! siło złota... co wy z ludźmi nie wyrabiacie? Stare to prawdy, powtarzamy je wszyscy, ruszamy ramionami, słysząc, je — a mniéj więcéj ulega z nas każdy téj władzy niepojętéj?

Lena wypiękniała, wyrozumniała, wymyślono jéj przodków, szlachectwo, znajdowano kolligacye, o mało nie nazywano Baronówną, a kilku młodzieży mówiło sobie, przeciągając nie daleko dworku w świeżych rękawiczkach, że... gotowi by ją byli uszczęśliwiać... gdyby się tylko na to zgodziła. Utrzymywano, że takie przypadkowe przejście przez teatr nic a nic jéj nie uwłaczało.*)

(Ciąg dal. nast.)

*) Cytowano Alboni, Ristori i t. p.

Słowacy.

(Z ryciną.)

Słowacy, potomkowie dawnych Słowian, ktorzy zajęli siedziby między Dunajem a Cisawą, żyją w rozproszeniu prawie po wszystkich komitatach węgierskich, mianowicie w północno-zachodnich, w okolicach Trenczyna Turocza, Arwy. Ogółem liczą ich na 2.750,000, z których 800,000 jest wyznania ewanielickiego, reszta zaś katolickiego.

Zachowali oni w swoich obyczajach dawny typ prawdziwie słowiański Są gościnni, wesołego umysłu, więcej skłonni do swobodnego życia, nie myślącego o jutrze, aniżeli do wytrwałej pracy. Wolą poprzestawać na małém, aniżeli ponosić trudy, by sobie los polepszyć. W tym charakterze przedstawiają nam się także druciarze, którzy chętnie opuszczają swoje strzechy rodzime, wędrują w dalekie strony, po Polsce, Czechach i Niemczech, by na starsze lata znowu powrócić do swoich, pod dach ojczysty.



Typy słowackie.

Długie lata mijały a o Słowakach mało kto wie-

dział, bo oni sami mało wiedzieli o sobie. Byli nawet tacy, którzy im nie przyznawali odrębnéj narodowości, ale uważali ich tylko za gałęź większego narodu, za część narodu czeskiego. Dość rychło jednak ruszyło się między Słowakami poczucie narodowości, rozbudziły się, ocknęły umysły, serca rozpaliły się miłością przeszłości i zapragnęły lepszych czasów Jak u wielu innych narodów, tak i przy rozbudzeniu się Słowaków okazało się, że każdy naród, który pragnie być sobą, powinien strzedz przedewszystkiém jako oka w głowie języka ojczystego, tego najważniejszego znamienia narodowości. Gdzie język narodowy idzie w poniewierkę, czy to że jest z szkół rugowany, gdzie młode pokolenie pobiera pierwotne wykształcenie, czy też że jest lekkomyślnie zaniedbywany, tam też naród chyli się widocznie ku upadkowi.

Słowacy zaczęli się poczuwać narodem od czasu, jak gorliwsi między nimi poczęli zbierać skarby ojczystego języka i pielęgnować swojską literaturę. Nadmienić tu wypada, że główna zasługa w pracy około rozbudzenia ducha narodowego należy się mianowicie duchowieństwu tak katolickiemu, jak protestanckiemu. Duchowieństwo to pierwsze zrozumiało obowiązek obrony narodowéj i podjęło się jéj z taką sumiennością, z taką gorliwością, z takim zamiłowaniem sprawy narodowéj, że wszystkie inne rzeczy odłożyło na bok i cały zasób sił swoich poświęciło narodowi. Katoliccy i protestanccy księża wyprzedzali się w pracy narodowéj i temu też to przypisać należy, że różnica religii nie zdołała wcale wywołać rozdwojenia.

Pierwsze próby literackie narzecza słowackiego, które jest bardzo zbliżone do czeskiego, pojawiły się w początkach XVIII wieku, kiedy ksiądz Maczaj wydał swoje kazania: Chleby prvotin neb kazani na nedele caleho rohu (1718). Za jego przykładem poszli inni, jak Bayza, Jerzy Fnadli, Gazda, a mianowicie Bernolak (1762—1813), dziekan katolicki. Napisał on gramatykę języka słowackiego, wydał słownik, pisał kazania i zbierał pieśni. W ślady ostatniego wstąpił kanonik Jerzy Palkowicz († 1835) który przełożył biblią: Svate Pismo (1829). Głośniejsze jeszcze imię zyskał Jan Holly (1785—1849), także ksiądz katolicki. Przekładał on poetów starożytnych i napisał bohaterskie poemata: Svatopluk, Slaw. Zbiór jego prac wyszedł pod tytułem: Jana Hollego Basne (4 tom. w Peszcie 1841 r.)

Gdy Czesi zaczęli krzepić u siebie ducha narodowego, zwrócili wtedy uwagę swoją na Słowaków Szafarzyk i Kollar. Ostatni wydał najzupełniejszy zbiór narodowych pieśni słowackich.

Wpływ Czechów sięgał daléj, aniżeli tylko na literaturę. Słowacy uciskani przez Niemców austryackich i Madziarów zażądali praw politycznych, których im dotąd odmawiano. Głównymi przywódzcami ruchu politycznego byli Ludewit Štur († 1856) ewanielik i Miłosław Hurban, pastor ewanielicki. Štur pierwszy zaczął wydawać gazetę słowacką w r. 1845 pod tytułem Slovenske Narodnje Nowiny z dodatkiem Orol (orzeł) tatrański. Dziennik ten wydawany przez 4 lata cieszył się wielkiém powodzeniem. W pracy téj wspierał go Hurban i Michał Hodża, także pastor.

Węgrzy długo prześladowali Słowaków, mianowicie tych, którzy krzepili ducha narodowepo. Prześladowanie to ustąpiło znacznie w ostatnich czasach, gdy Węgrzy sami zmiarkowali, że lichą ten gotuje sobie przyszłość, kto godzi na krzywdę drugiego. R. L.

Dzień dziesiąty Października.

Są pewne dni w życiu narodów, które każdy naród święci wspomnieniami już to wielkiego wesela, już też wielkiego smutku. Nie ma drugiego narodu w całym świecie chrześcijańskim, któryby mógł obchodzić więcéj wspaniałych uroczystości narodowych, aniżeli naród Polski. Przez długie wieki stojąc na straży chrześcijańskiego świata i rozlewając w jego obronie krwi potoki, przeżył on niejednę chwilę prawdziwéj chwały i prawdziwego poświęcenia, przeżył niejednę chwilę, która mu zapewni nieśmiertelne imię na kartach dziejów ludzkości. A to szlachetne serce narodu, które tak gorąco biło za każdą uczciwą sprawę, nie zamilkło, nie zamarło nawet wtedy, gdy gwałtownie ściśniętém zostało. Naród wielkiéj przeszłości nie od razu ginie — owszém przyszłość jego jest zapewnioną, jeżeli tylko sam nie przepomni o tém, czém był.

Kiedy Osman, sułtan turecki, najechał Polskę z 300 tysiącami Turków i 100 tysiącami Tatarów, padł strach na Polskę, bo jak Krasicki powiada w opisie wojny chocimskiéj o sułtanie:

> dumny mocą swego majestatu,
> Wzniósł się nad człeka i pogroził światu."

Ale nieustraszony wódz nasz, Karól Chodkiewicz, widząc niebezpieczeństwo wielkie, zagrażające nie tylko Polsce, ale całemu chrześcijaństwu, opuścił na pierwszą wieść co dopiero zaślubioną Annę, zgromadził 35,000 wojska, które miało tak groźnéj potędze tureckiéj śmiałe stawić czoło.

Siła wprawdzie wojska była małą, ale zapał niezmierny, bo tu szło o największe dobro człowieka, o wiarę i wolność. Dla tego to walka gotowała się na życie lub śmierć; tu się miało roztrzygnąć, kto miał władać światem, koran czy ewanielia, półksiężyc pochańców, czy też krzyż wiernych.

Ufny wódz polski w pomoc bożą i męztwo dzielnego rycerstwa polskiego, uderzył z tą małą siłą pod Chocimem na potężne szyki Turków i Tatarów. Dwanaście godzin bitwa trwała, Polacy na głowę porazili Turków. Było to 1621 roku 11 września.

W trzy dni potem Turcy uderzyli znowu na naszych, ale z ogromną stratą odparci, pierzchnęli w nieładzie. Widząc to nasi, ścigali ich do samego obozu i sprawili tamże straszną rzeź. Ale na tém jeszcze nie dosyć; nazajutrz t. j. 15 września, Turcy mając jeszcze przeważające siły, nie poprzestali na danéj sobie nauce, ale z wrzaskliwym krzykiem Allah wpadli na Polaków, lecz nasi tak się z nimi gracko nwinęli. że i tym razem zbili ich do szczętu. Legło Turków i Tatarów kilka tysięcy, zginął ich wódz naczelny Karakasz i cały obóz turecki dostał się w ręce Polaków, a z nim ogromne łupy i bogactwa.

Nie długo cieszył się tym tryumfem Chodkiewicz, osłabiony trudami wojennemi i wiekiem umarł w Chocimie 23 września, oddawszy dowództwo Stanisławowi Lubomirskiemu. Dowiedziawszy się Turcy o téj dotkliwéj stracie Polaków, nabrali serca i jeszcze kilka razy zmierzyli się z Polakami, ale poznali, że męstwo Polaków nie spoczęło z Chodkiewiczem w grobie. Tylokrotnie zbici, zaczęli błagać o pokój. Chętnie na to przystali Polacy, bo sami wycieńczeni, znali dobrze wielkie niebezpieczeństwo, jakie jeszcze nigdy Polsce nie zagrażało. Stanął więc pokój 8 października.

Kościół nasz, widząc, jakie dobrodziejstwo wyświadczyła Polska z pomocą bożą całemu chrześcijaństwu, wyznaczył dzień 10 października na coroczne składanie dzięków Najwyższemu za ową niewymowną łaskę, która się przez polski objawiła oręż. W dniu tym składa kościół dzięki Bogu w obudwóch archidyecezyach naszych, po wszystkich kościołach na pamiątkę owego dnia chwały, który zajaśniał dziadom naszym przed dwoma z góry wiekami.

Po wiedeńskiéj wyprawie (12 września 1683) dnia piątego król Jan III Sobieski ruszył z wojskiem do Węgier, gdzie wiele tysięcy zabranych w niewolę chrześcian odbił, a szedł przez popioły i gruzy spalonych miasteczek i wsi, których kronikarze liczą 14,932. I ledwie nie trudniejszy był pochód wojska przez Węgry, aniżeli sama bitwa. Nigdzie żywności nie było, całe pola w niwecz były obrócone.

Po wielu przeprawach stoczył król wielką bitwę pod **Strygoniem**. Najprzód turecka potęga uderzyła na prawe skrzydło, któremu przywodził Staremberg, dowódzca Wiednia. Ale że ich tam dobrze przywitano, obrócili się Turcy na lewe skrzydło księcia lotaryńskiego. Lecz i tu znaglono Turków do ucieczki. Gdy jednak gdzie uciekać nie było, jedni uchodzili przez most na drugą stronę Dunaju, inni wpław puszczali się przez bystre Dunaju nurty i topili się na błotach. Jednych rąbano bez litości, drugich strzelano jak kaczki na wodzie, innych dobijano na błotach.

I z strony chrześcijańskiego wojska nie mała była klęska, bo do 3000 legło trupem w téj bitwie, a blisko 1000 rannych było. Lecz z strony tureckiéj 34,000 zostało na pobojowisku, a iluż to znalazło śmierć w nurtach Dunaju. Strach było patrzeć, gdy się most załamał, wtedy to po trupach, jakby po moście, na drugą stronę przejść było można, a cała rzeka na kilka mil krwią się zafarbowała. Chlubniejsza była owa strygońska bitwa, jak sama wiedeńska, gdyż tu więcéj położono trupem i więcéj w niewolę wzięto; 5 baszów zginęło, 2 wzięto w niewolę.

Po téj wyprawie uderzył król Jan na twierdzę Parkany, ale Turcy sami mu się poddali. Wyszło z twierdzy 4300 Turków, a z nimi białychgłów przeszło 2000. Stał król na koniu przed bramą, wojsko rzucało mu broń do nóg, a basza z oficerami wychodząc, oddał mu klucze. I ta wyprawa strygońska zaszła także 10 **października**.

Nazajutrz po niéj, pisał król list do królowéj, który tu dosłownie przytaczamy: „Powtórnie dobroć boska chrześcijańskiemu hojnie pobłogosławiła wojsku, za co Mu niechaj będzie chwała wiekuista, że nam dnia onegda szego (wczorajszego) znowu pozwolił zwycięstwa tak wielkiego, iż lubo wiedeńska ekspedycya znaczną była wygraną batalią, ale tu in triplo (w trójnasób) dobroć Boska większą nam dała. Nieprzyjacielowi zaś fatalny upadek przyniosła. Sam żyłem w niebezpieczeństwie zdrowia mego dla odwagi nacierania na nieprzyjaciela krzyża św., chcąc rekognoskować most pod Strygoniem, abym go mógł jak najprędzéj opanować dla korespondencyi z odebranemi fortecami. A gdym się zbliżył ku ich wojsku, zobaczyłem, że się nieprzyjaciel w wielkiéj liczbie świeżego znajduje wojska, ale to serca naszego bynajmniéj nie zalterowało, a w tém dają znać, że podjazdy nasze o staje się od nieprzyjaciela znajdują, który, że niejakiego doznał powodzenia, daléj ku nam marsz zaczął, a my téż zaraz ruszyli z wojskiem. O tém dali znać Turcy wezyrowi, który dwu baszów z wojskiem przeciw nam ordynował, aby nas uprzedzili i na obóz nasz napadli, lecz my szczęśliwie uprzedzili i wprzód na nich uderzywszy, jednym impetem znaczną kwotę znieśliśmy nieprzyjacielskiego wojska. Osiem baszów w wojsku ich było, 2 w niewolę wzięliśmy, sylistryjskiego i alepskiego, 2 między niewolnikami się utopiło, drudzy na placu polegli, a tak zasławszy trupem pole, wezyr z resztą wojska uciekł przez most na Dunaju wystawiony; — a że się na nim zatarli, my kazali podstrzelić, jakoż tak szczęśliwie, że wielki tłok ostatka dołamał, zaczém Turcy w wodę wpadli, wojsko zaś chrześcijańskie z tyłu ich licznym trupem słało. Bardzo ich wielu potonęło, gdyż trudne salwowanie się przez taką Dunaju szerokość było, tak że trupy z zawojami płynące pokryły wodę, iż rzeki znać nie było. Strach było i patrzeć, jakby sądny dzień widzieć było, kiedy tu ratujący się do dna śli, a inni od kul na wodzie zabici tonęli. Mogę mówić, że nie tak w utarczce saméj, jako uciekających wojsko nasze bijąc, prawie zmordowało się. Ziemia i Dunaj prawdziwie w ten dzień napełniły się krwią turecką. Ostatek Turków zostało się w okopach i miejscu przerzniętém, że się łączyć nie mogli, zaczém widząc swoich klęskę, poddali się. Między tymi znajdowało się różnéj kompleksyi i kolum ludzi. Prawie czoło i wybór wojska, panów tureckich i różnego paddaństwa tego narodu, na tę wojnę wyprowadzonych, wykorzeniło się za pomocą bożą; w 10 godzinach zakończyła się ta okrutna i ledwie słyszana w świecie walka."

Dzień **dziesiąty października** przywodzi nam także na pamięć dzień smutku wielkiego i wielkiéj żałoby narodowéj. W dniu tym r. 1794 zaszła pamiętna bitwa pod **Maciejowicami**, w któréj Kościuszko ranny dostał się do niewoli moskiewskiéj. — Naród polski, widząc co się święci, jak Moskwa bawi się z królem, jak gdyby z pupką, wziął się do oręża pod Tadeuszem Kościuszką. Pod Racławicami skropiono Moskali ostro; w Warszawie w wielki Czwartek pod sławnym szewcem Kilińskim nasiekano ich nie lada.

Więc jak lud się wziął siarczysto
W wielki Czwartek do roboty,
Całe miasto do soboty,
Jak Bóg kazał, wymiótł czysto...
Czego szewcy nie zdołają
Krawcy między sobą krają;
Czego kowal nie dokuje,
To im rzeźnik dożyluje.

Kościuszko zwyciężył jeszcze pod Szczekocinami, a wszędzie najwięcéj kosynierzy dokazali. Każdy zna zapewne z opowiadań Bartosza Głowackiego i Stacha Świstackiego, dzielnych Krakusów, co się w bitwie racławickiéj wsławili. Wówczas to śpiewano:

Komu Pan Bóg błogosławi,
Temu się i wiedzie.
Idzie sobie Stach Świstacki,
A Głowacki je zie.
Jedzie, jedzie na armacie,
Na smoku mosiężnym,
Czapką wiewa, a lud śpiewa
Głosem tak potężnym,
Jak na wiosnę się przewala
Fala rozdąsana.
Danaż moja, dana, dana —
Ojczyzno kochana.
I stanęli przed Kościuszką
Krakowiacy śmiali,
Do nóg mu się pokłonili,
Potém zaśpiewali:

Kto za ciebie Matko nasza
Zdrowia pożałuje,
Niech mu tego przy skonaniu
Pan Bóg nie daruje. —
Ojcze miły, Naczelniku,
Przynosimy plony,
Osiem armat na wojenkę,
A cztery na dzwony,
Żeby co dzień na świat biały,
Brzmiały dzwony z wieży,
Na te wioski, okolice,
Na ten wietrzyk świeży.
I żeby też Panu Bogu
Była za to chwała,
I téj Matce Przenajświętszéj,
Co nam sił dodała.

Kościuszko, chcąc przeszkodzić połączeniu się wojsk nieprzyjacielskich, zastąpił im drogę pod Maciejowicami 10 **października**, bił się jak lew, ale uległ przemocy, koń pod nim padł, a on cięty w głowę, dostał się do niewoli. — Był to ostatni dzień politycznéj niepodległości naszéj.

X.

Przygody asesora Z...

(Prawdziwe zdarzenie. — Ciąg dalszy.)

Asesor zauważał, że wszelka opozycya byłaby tu daremną, czuł się zdrowym na ciele i umyśle, ale uczuwał także lekkie dreszcze i ból głowy. Tużurkowy jegomość upewniał obecnych, że chory jest jeszcze w bardzo niebezpiecznym stanie, kazał sobie podać wody i w towarzystwie Nikity zbliżył się do łóżka.

Asesor teraz dopiero zrozumiał, że jest w rękach doktora, i że ów ból głowy pochodził z lekkiéj rany, dającéj najwymowniejsze świadectwo, że nocne wypadki nie były marzeniem. Sam doktor utrzymywał, że rozcięcie głowy nie daje się inaczéj wytłómaczyć, jak tylko że pan asesor musiał upaść albo na sochę, albo na inne jakie ostre żelazo. Asesor byłby gotów od razu opowiedzieć całą nocną przygodę, ale ów brzęk czarowny jeszcze brzęczał mu w uszach. W milczeniu poprzysiągł sobie dojść jego znaczenia, poddał się więc pokornie operacyi, kuracyi, z tą jednak myślą, że prędzéj lub późniéj odkryje, kto był ów tajemniczy zbrodniarz.

Nareszcie wszystko zwolna poczęło się wyjaśniać; w nagrodę posłuszeństwa i cierpliwości za drugą wizytą doktór zawiadomił asesora, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności właśnie znajdował się we dworze, kiedy poczciwy Niaura (tak się nazywał gospodarz, u którego na teraz znajdował się asesor) przybiegł zadyszany, donosząc, że jakiś podróżny leży bez duszy w pośrodku gościńca.

Niaura téj nocy wybierał się ze lnem do Rygi i nie wiele brakowało — tak utrzymywał parobczak Niaury, pozostały w chacie, aby ciężko ładowny wóz nie roztrzaskał asesorskiéj głowy.

Następnie dowiedział się asesor, że doktor wezwany był do dworu, bo téjże nocy zakończył życie dzierżawca państwa K.... Stary skąpiec umarł tak, jak żył — mówił doktór, marszcząc brwi, w ostatnich dopiero chwilach zapotrzebował lekarskiéj pomocy, a teraz zachodzi wątpliwość, kto wypłaci honoraryum doktorowi, bo nikogo z krewnych nie było przy umierającym a dom opieczętowano przy świadkach do dalszego rozporządzenia władzy.

Asesor w milczeniu wysłuchał doktora, poczém czule mu podziękował za jego troskliwość i przyobiecał hojną nagrodę, aby tylko jak najprędzéj powrócił do zdrowia, następnie przywołał parobczaka, który na swoich barkach przyniósł go do chaty i gospodynię domu zastępującą w téj chwili siostrę miłosierdzia, — obojgu podziękował jak mógł najczuléj i poprzyrzekał nagrody. — Jeden tylko Nikita oberwał w dniu tym porządnego w bok kułaka, bo zanadto się krzywił i obrzydliwie nos ucierał, udając płacz nad głową nieszczęśliwego swego pana.

Odtąd asesor na piękne rozgospodarował się w chacie i tu założył tymczasową kancelaryę, a jak tylko przyszedł do zdrowia, rozpoczął tajemne śledztwo, tak co do broni mającéj znajdować się we dworze, jako też i zbrodniczego zamachu na jego życie, którego ślad nie zatarty pozostał mu na wieczne czasy na czole.

Kto zna chytrość Żmudzinów, ten łatwo pojmie, że zadanie było nie tak łatwém. Po pierwsze broni nie znaleziono nigdzie; wprawdzie pod wielkim kominem we dworze znaleziono wygodne ku temu pomieszczenie i kilka odłamków palnéj broni, które pan asesor zabrał jako corpus delicti, ale na tém ograniczał się cały donos, a ten, na którym mogłaby ciążyć odpowiedzialność, już od tygodnia spoczywał w grobie. Co do osobistego wypadku asesora, to więcéj jeszcze pokryte było mgłą tajemnicy i sam asesor pilnie się wystrzegał, aby nie nabrało rozgłosu.

Jak tylko powstał z łóżka, rano i w wieczór odbywał przechadzki około dworu; już wydeptał dróżynę w alei, którą przebył w owéj pamiętnéj nocy, ze sto razy był pod okiem izby, zkąd czujny cerber tak nielitościwie go odpędził — daléj obiegał wzdłuż i wszerz terytoryum obszernego sadu, upatrując śladu świeżo poruszonéj ziemi, albo wreszcie owych zarośli, w których się ukrywał. Próżne wysilenia, — baczne oko nic nie zdołało odkryć, sam szatan zdawał się go oślepiać, i gdyby nie blizna na czole i kilka słów parobczaka, byłby już gotów sam uwierzyć, że go znaleziono w pośród gościńca wioski.

„O! ja miał rozum i dobrze brał się do rzeczy“ chełpliwie powtarzał pan asesor, popijając starkę. I rzeczywiście oddać mu słuszność należy, że umiejętnie dochodził wątka, ale widocznie miał do czynienia z człowiekiem po dwakroć od niego zręczniejszym. Z poufnéj rozmowy z parobczakiem, z gospodynią domu, z kluczwojtem, z innemi mieszkańcami włości, wiedział już prawie na palcach asesor, ile który gospodarz ma dzieci, a pieścił, a głaskał, a przywabiał do siebie każdego malca, aż nareszcie zrozumiał, że ten, którego szukał, nie znajdował się we wsi.

Gospodarz Niaura jednego miał tylko syna i tego właśnie powiózł ze sobą do Rygi. Tu już był ślad. Gospodarz Niaura był słusznego wzrostu, a synek jego nad wiek roztropny, tak utrzymywała matka i wszyscy sąsiedzi. Gospodarz Niaura był bardzo tajemniczéj natury, bo wybierając się do Rygi, sam wóz ładował a lnu miał taki poddostatek, że wbrew zwyczajowi aż trójkę koni zaprzągł do wozu i wyjechał w nocy z zagrody tak, że nawet parobczak o tém nie wiedział. Kiedy jego zadyszany synek wbiegł do chaty i wrzaskiem rozbudził śpiących, już wóz ciężko obładowany potrzebował zmiany koni, bo tak poprzednie były zmęczone, jak gdyby z ciężarem pod górę gwałtownie je zagnano; — tak utrzymał parobczak, ubolewając nad ulubionym gniadoszem, który pozyskał także i łaskę asesora, że go nawet aż w stajni odwiedzić raczył. Gospodarzowi Niaurze, widać bardzo pilno było w drogę, kiedy nawet nie zajrzał do chaty, czy taki wielki pan, jak pan asesor, będzie miał dostateczną wygodę w jego domostwie, ale jak tylko złożył chorego na barki parobczaka, zaciął biczyskiem szkapiny, że aż zajęczały i furknął z kopyta het ku lasowi.

Te wszystkie tak od niechcenia zebrane wskazówki aż nadto objaśnić mogły asesora. Tajemną więc siecią zwolna otaczał swoją ofiarę. Wiedział już, którego dnia Niaura przybył do Rygi, gdzie stanął, komu len sprzedawał i w jakiéj ilości, słowem, wiedział wszystko, o czém chciał wiedzieć, a nawet, że wóz i konie sprzedał, a piechotą wracał do domu. Asesor przybrał postać baranka potulny, cichy, wyrzekł się nawet na czas jakiś ulubionéj starki, jedynego swego towarzysza Nikitę odesłał wraz z kolasą do miasta, a stękając, pokładał się często do łóżka i poprzestał wychodzić z domu.

Tak upłynęło ze dwa tygodnie, asesor czekał cierpliwie, ale stracił ślad pobytu Niaury, a widoczny niepokój jego żony był wyraźną wskazówką, że i ona nie wiedziała, gdzie dotąd jéj mąż przebywał. Poszukiwanie we dworze broni obudziło nieufność włościan, przedłużony pobyt asesora przestrach — kilka dni jeszcze, a asesor byłby zmuszonym pomyśléć o rejteradzie z braku żywności. Jedyny zwolennik asesora, dobroduszny parobczak Niaury, począł stronić od niego, ulubione słowo Żmudzinów ne supranto (nie rozumiem) coraz więcéj odbierał w odpowiedzi; nagliła więc potrzeba coś stanowczego przedsięwziąść.

Asesor miał na zawołanie tajną policyą, ale Żmudzini mieli solidarność wiekową, rozum i przebiegłość, jak ich charakteryzuje znane a stare przysłowie: „że Żmudzina więcéj pod ziemią, jak na ziemi.“

Z takim ludem zaprawdę trudna jest walka. Żmudzin cichy, pokorny, brzydzący się rozlewem krwi, z głęboko wkorzenioną wiarą, jest dla Moskwy ścianą skalistą, o którą wszystkie reformy i zachcianki prawosławia rozbić się muszą. Tutaj i działa nabite rublami nie na wiele przydać się mogą; rubel biały wpadnie do żelaznego garnka, który Żmudzin starannie ukrywa pod ziemią, a sprawa pozostaje na ziemi, i o jedną linijkę nie postępuje naprzód. Mów Żmudzinowi o śmierci, on w każdéj chwili życia jest do niéj przygotowanym, w dzień największéj dla człowieka niebieskiéj rozkoszy na ziemi. Żmudzin buduje sobie własną

ręką trumnę, którą ustawia na szczycie swego domku, aby mu przypominała, że nie ma nieba na ziemi.

Przebrzmiały wieki, a Żmudzin pozostał tym samym Żmudzinem, — wierny ojczystéj mowie, wierny spruchniałym krzyżom swoich praojców i téj drugiéj ojczyznie, ktoréj ślubował miłość i wiarę!

Zaprawdę więc trudna jest walka z takim ludem a każdy spór zawiły jest węzłem gordyjskim, jest niepodobnym do rozwiązania. Pan asesor nie tracił jednak nadziei i liczył na powrót Niaury — prędzéj lub późniéj.

Niaura wrócić jednak musiał do wioski, a mianowicie szło oto asesorowi aby go na osobności poprzednio wybadać, sprawdzić podejrzenie, które kamieniem leżało na sercu asesora względem owego czarodziejskiego brzęku, a pod którego wrażeniem dotąd jeszcze zostawał. Wybiła nareszcie godzina, Niaura jakby spadł z obłoków, z tą tylko różnicą, że siedział w prześlicznéj nietyczance, trzymał w ręku bat niowiuteńki krakowski, a w zaprzęgu miał czwórkę koni, jak orły; — cała wioska zbiegła się do zagrody Niaury.

Twarz przybyłego jaśniała radością, w mil zeniu uściskał żonę, tego i owego gospodarza powitał wesoło, i z hukiem, hałasem, wtłoczyło się to wszystko do izby, gdzie stał milczący asesor przy okienku, śledzący bacznie całą tę scenę.

Na widok asesora Niaura odskoczył w tył, jakby oparzony i zamienił słów kilka z żoną po żmudzku. Asesor zrozumiał, że to o nim mowa, a chcąc od jednego zamachu zgasić wzniecający się pożar, kordjalnie wyciągnął rękę do Niaury i zaczął mu dziękować za ratunek i gościnę. Niaura to bladł, to czerwieniał, ale zdawał się coraz więcéj nabierać przekonania, że słowa pana asesora pochodzą z szczerego serca, i powoli, powoli... z gościa... stawał się gospodarzem. Gromada poszła za przykładem Niaury, asesor tryumfował w duchu, że podszedł chytrego Żmudzina, dziwiło go tylko, że nikt nie spytał się o malcu, że nawet matka zdawała się na to być obojętną, — ale w obec tak jasnych dowodów, że Niaura był owym tajemniczym napastnikiem, jeden ślad mniéj lub więcéj nie stanowił rzeczy.

Noc miała rozstrzygnąć los Niaury i asesor tajemnie zabezpieczył się na wszelkie wypadki. Niaura także widocznie ze swojéj strony czynił jakieś zabiegi, to wychodził, to wracał, to w komorze szeptał coś po cichu z żoną, aż nareszcie ze wszystkiém wyprawił ją z domu. Asesor jeszcze tryumfował, — wiedział że każdy krok kogokolwiek z domu Niaury bacznie jest strzeżony, a Niaurowa od dwóch tygodni była pod pilną uwagą donoszczyka i klucz — wójta.

W takim stanie były rzeczywiście wszelkie szanse po stronie asesora i mógł też bez dalszych ogródek przystąpić do dzieła, tém bardziéj, że po za kordonem włości tajna policya rozciągnęła sieć którą pominąć było niepodobieństwem. Można więc było dozwalać wchodzić, wychodzić, bo w danym razie ujęcie Niaury i jego żony było zapewnione. Szło tylko o to, jak przystąpić do konferencyi, którą usilnie nakazywał ów brzęk czarowny, — magnetyczny, i którego skutki widoczne były pomimo najsubtelniejszéj baczności Niaury.

Błyszcząca jak stal nietyczanka, przepyszne konie, zamczyste kufry świeżo przywiezione, a które dotąd stały nietknięte, bo wstrzymywała je otwierać obecność natrętnego gościa — dodajmy do tego przypadkiem zgubiony jakiś talar w dziedzińcu zagrody, do którego Niaura nie chciał się przyznać, a o którym poczciwy znalazca opowiadał z najdrobniejszemi szczegółami, jak Niaurze wypadał z kieszeni, — wreszcie ta roskosz wewnętrzna, malująca się co chwila w spojrzeniu, w ruchach, w głosie, zdradzała na każdym kroku udany smutek gospodarzy, smutek niby z powodu choroby dziecka wynikający, które Niaura pozostawił w Rydze, a o którém dopiero sobie przypomniano wtedy, kiedy u rzejmy asesor zapragnął uściskać małego wybawcę, o którym mu parobczak przedtém cuda opowiadał.

Wszystkie te na pozór drobne odcienia pouczały asesora, że jeżeli tylko umiejętnie weźmie się do rzeczy, to znajdzie w Niaurze złotodajną minę, którą albo całą zagarnie, albo dowolnie i w każdym czasie wyzyskiwać może.

(Dal. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

(Mityng szkólny w Chełmnie.) Dnia 29 września w dzień św. Michała zebrało się kilkuset obywateli i włościan w Chełmnie celem narad nad polepszeniem polskich szkół elementarnych po zaborem pruskim. Spółeczne znaczenie tego mityngu jest niesłychanie wielkie, chociażby już dla tego, że w tak ważnéj sprawie, jakiém jest wychowanie młodzieży, pierwszy krok uczyniono do zbiorowego działania. „W czyim ręku szkoła, w tego ręku przyszłość narodu“ powiedział któryś z filozofów i bardzo słusznie, bo każdy naród o tyle dźwiga się do lepszego bytu, o ile każde nowe jego pokolenie nabiera więcéj wykształcenia. Sprawa naszéj przyszłości to sprawa wychowania naszéj młodzieży. Sądzim, że nie będzie rzeczą zbyteczną, gdy tu na tém miejscu zamieścimy uchwały chełmińskie o szkole, aby i z naszéj strony przyczynić się do ich jak najdalszego rozszerzenia. Rezolucye chełmińskie brzmią jak następuje:

I. Językiem wykładowym dla polskich dzieci powinien być język polski. Rozporządzenia przeciwne są złém i grzechem pedagogicznym i moralnym.

II. Powody smutnego stanu szkół elementarnych dla ludności polskiéj pod rządem pruskim są:

1) Liczebny brak szkół dla ludności katolickiéj. — 2) Zaniedbanie języka polskiego w szkole. — 3) Niedostateczne wykształcenie nauczycieli w języku polskim przez nieodpowiednie urządzenie seminaryów. — 4) Niedostateczne wyposażenie nauczycieli. — 5) Z powyższych powodów płynąca niechęć rodziców do szkół.

III. Opiekowanie się szkołą jest najważniejszym obowiązkiem wszystkich oświeceńszych; wszelako zakładanie ochronek najwięcéj się może przyczynić do chętnego i regularnego uczęszczania do szkół.

IV. Zgromadzenie jest tego przekonania, że szkoły bezkonfesyjne dla ludności katolickiéj są szkodliwe.

V. Zgromadzenie ubolewa mocno nad tym, że zeszłoroczna petycya ludności polskiéj z Prus Zachodnich pod obrady całéj izby poselskiéj wziętą być nie mogła, zgadza się ze wszystkiemi tam wyrażonemi petytami, oraz uważa za obowiązek posłów polskich, aby przy obradach w izbie poselskiéj o wykazanych w petycyi potrzebach pamiętali.

VI. Zgromadzenie zważając, że szkoła potrzebuje uczni, że ubogim nauki są utrudnione, a ułatwieniem do tego jest Towarzystwo Pomocy Naukowéj, zaleca jak najliczniejsze przystępowanie do tegoż Towarzystwa.

VII. Zebranie zaleca urządzenie po powiatach zebrań ludowych celem jak największego rozpowszechnienia uchwał powyższych i zainteresowania ludności polskiéj w kwestyi szkólnéj.

Oprócz powyższych punktów uchwaliło Zebranie wysłać do sejmu petycyą w myśl pierwszéj rezolucyi.

Szarada.

Pierwsza i druga, gdy co zbroisz bracie,
 Przypadnie na cię.
Trzecia i piąta grzeje zimą ręce
 Pani, panience.
Gdy piąte z drugą razem się ułoży,
 Będzie dom boży.
Czwarta jest liczbą, a piąta jest nutą.
Całość: wódz wojska, co z wielką butą
Miasto chciał zdobyć, lecz polskie siły
Zuchwalca tego całkiem zgromiły.

(Rozwiązanie szarady w nr. 40: **Koniecpolski.**)

PUSZKA DO LISTOW.

Panom Ks. X. — S. G. z nad Prosny, — W. z Poznania: Dziękujemy. — Panu B. D. z pod Środy: Wcale piękne, ale niestety spóźnione; tego rodzaju kwiaty już kwitły na naszéj niwie. — Panu Mich. Mr.: Na retoryczne pytania Pańskie: „Któż nie powie: Kornelija — z nieba wziętym jest aniołem!“ odpowiadamy równie retorycznie, — dla czegożby nie!

— * Szanownych Abonentów na prowincyi, którzy nie odbierają Sobótki regularnie, upraszamy, ażeby w téj mierze udali się do miejscowych urzędów pocztowych

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.